[*Druk: „Przewodnik Katolicki” 35(1929), s. 518-519.*]

Z podróży morskiej do Buenos Aires

X. Ignacy Posadzy

Buenos Aires, dnia 8 lipca 1929 r.

Jedziemy w daleki świat. Dziewięć dni od wybrzeży Afryki na oceanie, zanim ujrzymy ląd brazylijski. W czasie tym nie spotykamy ani jednego okrętu. Zawsze ten sam obraz: szmaragdowe fale Atlantyku i bezkresny błękit nieba.

Słońce szaleją. Niepodobna się pokazać na pokładzie bez nakrycia na głowie. Oznaczałoby to śmierć niechybną. Ludziska raczą się lodem, wyrabianym na okręcie. Szukają cienia za słupem, pod łodzią ratunkową. Dopiero, gdy wieczór nastanie, pokłady się ożywiają. Gwarzy się, żartuje. Czasem ktoś zaśpiewa lub zagra na przygodnym instrumencie. Przegłuszy dźwięki stuk maszyn „Valdivji”, przegłuszą fale, co wzburzone biją o burty - a jednak z tego powstaje zharmonizowana, egzotyczna całość.

Późnym wieczorem słyszę śpiew naszych: „Wszystkie nasze dzienne sprawy” płyną potężnym akordem pod niebios stropy. Lud się korzy przed Bogiem, prosi o szczęśliwą noc. Wszak o nieszczęście nietrudno. A pod nami głębie bezdenne. 4700, 3800, 5200 m naznaczone na mapie miejsca, przez które właśnie płyniemy. Są wprawdzie łodzie, są pasy ratunkowe, znajdujące się pod każdą poduszką, ale jeśli pomoc nie nadejdzie na czas?...

21 czerwca przejeżdżamy pod równikiem. Miejsce to najbliższe słońca. Na „Valdivji” święto. Rano grzmią wesołe hejnały. Orkiestra marynarzy wygrywa skoczne melodie. O godz. 9 rozpoczyna się chrzest tych, co po raz pierwszy przejeżdżają pod równikiem. Przebrani marynarze stają przed basenem, napełnionym wodą morską. Neptun, bóg mórz z trójzębem w ręku, pyta się pierwszego z rzędu nowicjusza:

- Po co jedziesz do Argentyny? Jak śmiesz przejeżdżać pod równikiem? Skądeś ty?

Następuje golenie brody dwumetrową brzytwą - a potem do wody... I tak po kolei. Śmiechu niema końca. W końcu wszyscy leją się wodą. Niczym nasz dyngus polski. Jeno, że w mgnieniu oka słońce osusza wszystko.

Wieczorem bal podrównikowy. W sali zawieszone sztandary. Czerwonobiały obok francuskiego lśni w aureoli różnobarwnych świateł elektrycznych. Na program składają się śpiewy, deklamacje, narodowe tańce hiszpańskie. Bawią się wszyscy do późnej nocy.

Za równikiem zmieniają się gwiazdy. Nie widać Wielkiej Niedźwiedzicy. Za to przyświeca nam t. zw. Krzyż Południa. Teraz północ - to strona słońca i ciepła, za to południe - naszą północą. Księżyc odwrócony „do góry nogami”. Inny też czas. Jakiś wychodźca z pod Równego, pokazuje mi zegarek:

- Widzi ksiądz, to jeszcze polski czas. Nie cofnę wskazówki. Ale nadziwić się nie mogę, że tu słońce wschodzi dopiero o dziesiątej!

Wychodźcy nasi sprawują się dobrze. Dbają o porządek, są skupieni. To też podobają się i załodze i pasażerom wyższych klas. P. Prouvot, Francuz, urządza składkę wśród kolegów, na najbiedniejszą rodzinę polską. W mig zebrał 500 franków. Wręczyłem tę sumę naszym. Radości nie było końca. W dziewiątym dniu spotykamy pierwszy okręt i mewy żarłoczne, owe zwiastuny bliskości wybrzeży. Niedługo też na nieboskłonie, rysują się nieznacznie skaliste brzegi brazylijskie. Po kilku godzinach wjeżdżamy do zatoki Guanabary. Przed, nami najpiękniejsze miasto na świecie, przecudna stolica Brazylii - Rio de Janeiro. Całe zalane słońcem, wabiło nas bielą swych marmurów, malachitem swych ulic i placów, zielenią palm i cyprysów nadbrzeżnych. Zewsząd otoczone górami robi wrażenie wprost czarujące. W oddali błękitnieje potężny łańcuch górski Serra dos Orgâos. W mieście samym, wznoszą się szczyty Pâo de Assucar i Corcovado, na którym wzniesiono kilkunasto metrowy posąg Zbawiciela. Na wyjezdnym żegnała nas w Marsylji, z wysokich zrębów skalnych Marja, opiekunka żeglarzy - tu na dalekich lądach, wita nas, niby z Taboru, świetlana postać Chrystusowa...

Jakże nie było się radować! Radują się też wszyscy. OO. Gil i Gabriel młodzi Dominikanie, co po ośmioletnich studiach wracają z Europy do swej ojczyzny, nie posiadają się z radości. Są oszołomieni. Jeden z nich ciągnie mnie za rękaw i co chwilę powtarza: - Księże wszak śliczna jest nasza stolica?

Zwiedzamy Rio de Janeiro. Tyle w niem piękności, że opisać trudno. [*s. 518*] I dalej w drogę! Po dwóch dniach zajeżdżamy do Santos. Ogromny port a w nim kilkadziesiąt okrętów z całego świata. Wszędzie ładują kawę. Przecież kawa to bogactwo Brazylii. Okręt obstępują łodzie przekupniów. Sprzedają owoce i ptaki. Banany po 30 rejsów, czyli nasze trzy grosze jeden. Nie droższe są też pomarańcze, śmiesznie duże bo dochodzące do wielkości główki dziecięcej. Pstre papugi i maleńkie koliberki, schwytane w tutejszych lasach, znajdują dużo odbiorców.

Zawijamy do Montevideo, stolicy republiki urugwajskiej. Na drugi dzień już mamy stanąć u celu naszej podróży - w Buenos Aires. Niestety, nie chcą nas wpuścić. Mamy odbyć trzydniową kwarantannę na morzu. W Argentynie bowiem grasuje epidemia żółtej febry. Cóż robić? Czekamy. Badają nas lekarze, szczepią, oglądają i radzą. Ciężkie to były chwile. Nuda i zimno. Tak, zimno teraz przejmujące, tak, że od dwóch dni kabiny nasze ogrzewają kaloryfery. Trzeba bowiem wiedzieć, że 21 czerwca rozpoczęła się tu zima. Jak mówiłem, za równikiem wszystko na opak. I skończyło się czekanie „zadżumionych”. Czwartego dnia „Valdivja” ryknęła, jakby z uczuciem ulgi, i pełną parą popłynęła ku argentyńskiej stolicy. Po trzech i pół tygodniach pobytu na morzu nasza podróż skończyła się wreszcie. [*s. 519*]